Nr. 25. We Lwowie dnia 23. czerwca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„Na wieś“.

Ponętne te słowa!..

Każdy mieszkaniec miasta radby je wymówić w tem przekonaniu, iż staną się rzeczywistością i z murów kamienic wysokich przeniosą nas na rozległe obszary pól, lub w cienie leśnych gwarów.

„Na wieś“! Rwą się z tęsknotą młodzi i starsi, bogatsi i ubodzy, a wieś nęci i wabi urokiem dziwnej potęgi.

Lecz jakże dla wielu — wieś ta daleka i nigdy nie zbliżona, jakże te słowa, zapowiadające wyjazd na wieś — dla wielu nieznane są i jakże wiele tym ludziom brakuje do tego szczęścia, aby z wilgotnych izdebek — ciemnych suteren, ciasnych poddaszy mogli się wydobyć na wioskowe pola i słoneczne blaski.!!..

Wszak to stara historja i wszyscy o tem wiedzą. Jako tako radzi się na to, ale i nasze „kolonje letnie“ i „kolonje lecznicze“ i „zapraszania uboższych na wieś,“ to wszystko drobiną atomową w porównaniu do potrzeb i kwestji olbrzymio poważnej, kwestji zdrowia i wytchnienia dla wielu istotnie zmęczonych i istotnie potrzebujących wsi.

Nigdy nie stają naprzeciw siebie tak w kontrastach rażących te dwa światy, miasta i wsi, jak w porze lata, w tej dobie, kiedy wieś jest najpiękniejsza i najlepsze daje warunki bytu, a miasto staje się przerażająco ciasne, duszne i niezdrowe, nigdy też nie szuka się tyle przyjaciół — znajomych i krewnych dalekich, jak w porze wyjazdu na wieś, gdzie i nieznanych radby każdy poznać i niekochanych pokochać, aby tylko do nich zagościć i u nich wieś odnaleźć.

Lecz są tacy, którzy nigdzie nie odnajdą ani krewnych ni znajomych, ani przyjaciół ni litościwych, a ciężka dola drogi do miejsc kąpielowych nie wskaże, ani nie opłaci dachu nad głową.

Są biedne szwaczki, hafciarki, panienki z magazynów, są żony kancelistów, dyurnistów, robotników fabrycznych lub przemysłowych, są seminarzystki niejeden raz bardzo pracą wyczerpane, są także biedne wdowy, które utrzymują mozolną pracą życie kilkorga swych dzieci, a po za temi ileż jeszcze, ile i ile, którym wsi trzeba dla zdrowia, dla pokrzepienia sił, dla wypoczynku, a wreszcie i dla tego, iżby lud przekonał się, że nie każda „pani“ z miasta szczęśliwa i bogata, nie każdy z miasta jedzie na wieś „po próżnicy,“ bo nie ma żadnej roboty „w doma.“

Zetknięcie się biednych z miasta z ludem wiejskim, to zupełnie inny świat dla ducha i jednych i drugich, odmienny od tego, jaki lud dotychczas łączy tylko z ludźmi zamożnymi i niedoli nieznającymi.

Lecz właśnie — samo ubóstwo ludzi tych dzieli, zdaje się, na zawsze. Nie wyjeżdżają na wieś najbiedniejsi z miasta, więc lud ich nie zna. A przecież gdyby wśród chat wiejskich obaczył te biedne blade twarze szwaczek, wiecznie nad maszyną pochylonych, gdyby widział te zmęczone życiem i walką o chleba kawał, istoty, zwane „dyurnistami“ lub „kancelistami,“ gdyby poznał tych ludzi, którzy nie mają ziemi ani drobiny, a wloką ciężki łańcuch niedostatku — jakżeby się łatwiej zadzierżgnął węzeł bratniej miłości między tymi ze wsi i tymi z miasta, między tymi, którzy są w surdutach i tymi, co noszą lniane płótnianki!..

Wszystko, co zamożne, swobodne, szczęśliwsze, z miasta ulata na wieś i lud widzi tylko stroje i przepychy, słyszy śmiechy i żarty, a więc coś mu serce ziębi do tych braci i coś go oddala od zbliżania się... Gdyby ujrzał w przybyłych gościach, biednych i srodze spracowanych — zrozumiałby, iż wśród „panów“ jest gorzka łza niedoli i smutna nędza, może taka sama, jak i po chatach, a może jeszcze ciemniejsza...

Czyż się te dwa światy nigdy nie zejdą?.. Czyż miasto nigdy nie znajdzie drogi do wyjazdu na wieś dla swoich najbiedniejszych i najwięcej spracowanych? a wieś nigdy nie otworzy swych wrót dla tych, którzy nie mają czem mieszkań sobie opłacić?..

Otóż — pytanie, czekające na odpowiedź.

Idźcie w skwarne dni lata przez ulice Lwowa lub Krakowa, wtedy, gdy „z towarzystwa“ wszyscy już wyjechali, a przypatrzcie się tym, którzy wloką się pod wieczór do parku, jakie to zmęczone czoła, jakie to wybladłe twarze, jakie pochylone barki...

Spytajcie się każdej osoby z tych, które duszą się w gorącem powietrzu miasta — czy nie pragnęła wyjechać na wieś?... Niech powie, kiedy na wsi była? Kiedy spoczywała?.. Jedna z ubogich szwaczek, mówiła nam niedawno: — Już 17 lat nie widziałam zboża w kłosach!... Pewien z uboższych urzędników mówił: — „34 lat łudzę się marzeniem, iż wreszcie wyjadę na wieś dla odpocznienia, ale — tymczasem ci wszyscy moi, którzy by mi byli dali kącik na wsi, pomarli, a ja — nie miałem o czem wyjechać!

Słyszeliśmy, jak te lub owe osoby starsze opowiadały, iż wady ludu są niewykorzenione, ciemnota nieuleczona, bieda jego tylko z lenistwa.

— A dawno państwo byli wśród ludu? pytamy.

— Ja przed 20 laty!

— Ja przed 30!...

— Więc nie znając ludu dzisiejszego, sądy o nim wydajecie?.. Wszak to wieki minęły od tej pory i warunki zupełnie zmieniły się... Co zrobiły szkoły – co zrobiło przeludnienie, co zrobiły podatki...

— Trudno!.. Nam do ludu daleko, bardzo daleko . . . .

Tyle dróg kolejowych z miasta rozbiega się po obszarach naszych pól, lasów i wiosek, ale — dla niewolników pracy i biedy niema drogi... Tylu „panów“ na wieś jedzie, ale z tych żaden nie powie ludowi, iż jest w mieście wielka niedola i smutno życie tam mija...

Dlatego lud na mieszkańców miasta patrzy chłodno i nie garnie się ku nim z serdecznością..

Więc gdzież recepta?...

Jedni ze wsi niech zaproszą z miasta najuboższych do swej biedy, a drudzy z miasta niech dopomogą biednym do wyjazdu...

To myśl! Ale wykonanie?.....

Jakże duszno, ciasno, martwo w tych murach, a jak pięknie, swobodnie i zdrowo tam daleko — daleko!

Jan Świerk.

3)

Cienie chińskie.

Wziął w rękę stare wybladłe kartki, niezgrabnymi, chłopskimi pokreślone znakami i czytał:

„W roku trzecim panowania bogdychana Juen-Fong z dynastji północnej Song, ja, Uang, przyszedłem z okolicy Szu i zająłem dolinę. Miejscowość była dzika, pusta, rzeka bez nazwy. Góry i urwiska wznosiły ku Przedwiecznemu Niebu jałowe szczyty, rzeka szeroka rozlewała wody, tworzyła cuchnące bagniska, porosłe bambusem. Tygrysy kryły się tam i straszyły nas po nocach, podchodząc do sadyb naszych z krwiożerczem parskaniem... Duchy żółtookiej febry ulatywały z nich wraz z mgłą wieczorną... Nazwałem rzekę „Wielką wodą doliny,“ przekopałem rowy, by spłynęły uwięzione wody, wytrzebiłem ogniem i łopatą bambusy. Czternastu synów pilnie pomagało mi w pracy. Na stokach wzgórz postawiliśmy trzy domy i otoczyli murem warownym; na zachodzie zamieszkał Jue z potomstwem, na wschodzie Si, a ja zamieszkałem pośrodku z resztą. Na miejscach, zalewanych wodą, zasialiśmy ryż... Po żniwach posłaliśmy za góry szukać żony dla Tonga... U Si urodził się wnuk Hu... Postanowiliśmy wznieść tamę na drugim brzegu rzeki, aby nurt, odbijając się o nią, mijał nasze pola i nie porywał nam zasiewów. W dali dostrzegaliśmy kilka razy za lasami dymy... Jue, wysłany z łukiem i strzałami, dowiedział się, że osiedli tam ludzie z Czeu. Niedługo potem żona Jue urodziła dzieweczkę, którą przezwaliśmy „Słodko pachnącą konwalją,“ Lien, na pamiątkę kwiatów, jakie przyniósł Jue, wracając z pochodu... Ming nie mógł pogodzić się z braćmi i za mojem pozwoleniem odszedł do miasta... Wspólnemi siłami całej rodziny oczyściliśmy z drzew szczyt ciepłego pagórka i zasadzili krzewami herbaty. Szajka Chun-Hu-Dze krążyła w tym roku w pobliżu i uprowadziła nam bawołu... Ścigaliśmy ją z orężem, lecz uszła w nieprzystępne skały... W trzecim roku naszego pobytu Tsong poprosił, aby mu też wybudować dom. Żona Tsonga pochodziła ze szczepów obcych, przywykła do obyczajów odmiennych, ostrych... Unikając niezgody, postanowiliśmy oddzielić go. Szanujemy spokój i wspieramy się, pamiętając na słowa Boskiego Nauczyciela, Niezgłębionej Mądrości, Nieobjętej Myśli Kon-fu-tse: »Pracujcie na ziemi, pielęgnujcie dobre obyczaje w sercach waszych, chowajcie wdzięczność dla ludzi, zwierząt, roślin, dla wszystkiego, co sprzyja Życiu, a Niebo spłynie na Ziemię.«

Tu Uang księgę zamknął i uniósł się z siedzenia.

— A teraz chodźcie! — rzekł.

Przez ciche, zalane słońcem, wyłożone gładkiemi płytami podwórze wywiódł ich za wrota. Leniwo płynęła w dali żółta Ta-szuej-Chi, ujęta w potężne groble, a w koło spały w słońcu

ukwiecone pola i gaje; białe, liczne jak gwiazdy, fanzy chowały się w wilgotnej zieleni, wszędzie błyszczała sieć ożywczych kanałów. I tylko tu i owdzie z gęstwiny krzewów, z pod zwojów pnączy i bluszczów, sterczały poszarpane, zmurszałe głazy — pomniki zamierzchłej przeszłości.

Oczy ludzkie z radością błądziły po cichej, żyznej, pracowicie uprawnej okolicy.

Po powrocie znowu upadli na twarz przed ojczystym ołtarzem.

Trociczki i świece dopaliły się. Kobiety wyniosły stół z izby, przesyconej wonią kadzidła, na werendę, gdzie wysunięty naprzód okap dachu, wsparty na lekkich, drewnianych słupach, rzucał chłodny cień. Rodzina obsiadła stół i nie spiesząc się, zaczęła spożywać owoce i potrawy ofiarne. Pod koniec, gdy pili grzaną wódkę ryżową i miano podać herbatę, potężne dźwięki gongu miarowo wstrząsnęły powietrzem. Uung zdziwiony zwrócił głowę w stronę żółtej pagody buddyjskiej, lecz głos leciał nie stamtąd.

— To ze zbornego domu, ojcze! — spokojnie powiedział A-Pe.

— Ze zbornego domu? Cóżby się stać mogło? Czyżby inspektor rolny przyjechał?

— A może teatr?! — krzyknęły dzieci.

— O, nie, nie takie było uderzenie!

Znów potężne spiżowe dźwięki przeleciały nad doliną. Na twarze Uangów wybiegł niepokój. Tylko I-Po był rozradowany, gdyż zbudziła się w nim nadzieja, że ojciec pozwoli mu włożyć długi, szafirowy kaftan odświętny i weźmie go z sobą. Mężczyźni przy pomocy kobiet przebierali się do wyjścia, a gong huczał i zwoływał wciąż mieszkańców.

Dom zborny przedstawiał duże podwórze, wyłożone gładkiemi płytami i ogrodzone wysokim murem. Wzdłuż ścian szły werendy, wzniesione nad ziemią na wysokość człowieka, nakryte ciężkim, rogatym dachem polewanym, na drewnianych słupach. Obszerne schody wiodły na wzniesienie. Werenda naprzeciw wejścia była obszerniejsza i niższa, tak że z sąsiednich wybornie widać było, co się tam działo. Tam w dni dżdżyste odbywały się targi i narady, grano teatr, gdy do wioski przyjeżdżała trupa aktorów wędrownych. Sala miała ściany wyłożone pięknemi, polewanemi taflami z blado-błękitnej porcelany, z szafirowymi napisami zasadniczych, praw chińskich:

„Czcij ojca twego i matkę twoją.

„Nie zabijaj, nie kradnij, nie czyń fałszywego świadectwa.

„Nie pożądaj żony bliźniego twego, ani pola, które należy do innych.“

Dalej szły wyjątki z mędrców starożytnych:

„Czcijcie bogów waszych w cichości ducha waszego i wystrzegajcie się religij głośnych, albowiem one wiodą do zaburzeń.“

„Kto żyje bez pracy, ten zmusza umierać z głodu bliźnich.“

„Nikt nie zazna spokoju szczęścia obok płaczących.“

Po drodze Uangowie spotykali dużo sąsiadów, idących w tym samym kierunku, witali się z nimi, uprzejmie wstrząsając zaciśnięte pięści i składając głębokie ukłony. Wszyscy byli trochę wzburzeni i zaciekawieni.

— Może nowe rozkazy od wicekróla?

W domu zbornym huczało, jak w ulu, wieśniacy tłumnie obsiedli stopnie, zapełnili werendy i podwórze. Wszyscy oni byli z pochodzenia Uangami; byli więc Uang-Jue, Uang-Si, Uang-Ming, Uang-Tsong i inni. Wszyscy posiadali pewne cechy wspólne w ruchach, twarzach i wszyscy się znali. Na wzniesieniu głównem obok Jang-jo (wójta) stał przybysz w wygiętym letnim kapeluszu, z gałką uczonego. Zebrani poznali odrazu, że i on też jest Uangem.

— Uang-Czeng-Lin-Li... Syn starego Li... — szeptano w tłumie.

Stary Li stał niedaleko, otoczony dziećmi. Ogromny kapelusz ryżowy rzucał na wąsatą twarz starca przejrzysty cień. Oczy jego patrzały surowo na wójta i uczonego syna. Ten dał znak, żeby obecni uciszyli się, rozwinął zwój żółtego papieru i czytał:

„O, Niebo nieskończenie błękitne! Niema nic, czegobyś nie utuliło w swych objęciach. Niebo i Ziemia złączone przez Człowieka. We wszechświecie panuje jedność... I wszystko, co powstaje, spotyka łaskawem spojrzeniem smok Long-I-Żeń, którego imię... Życzliwość. Lecz gdy Niebo i Ziemia są zgwałcone, występuje skutek Jnga i Janga i cierpią serca ludzkie. Wielekroć narody Pej i narody Si w ciemności swego barbarzyństwa, z głębiny swej nędzy wyciągały ręce ku Słońcu, powodowane głodem i chciwością, napadały na łagodnych synów Nieba, kochających pracę. Nauczeni doświadczeniem, aby oszczędzić krew i łzy, bogdychanowie Kwang-Si wybudowali mur wysoki dokoła Ogrodów Szczęścia i Mogił Ojców... Dziś znów przyszli krwi chciwi... Niech Dzieci Słońca przygotują swe oczy do płaczu, a serca na trumny dla Przedwcześnie umarłych. Niech w godzinie nieszczęścia zbudzi się w nich wielki duch bohaterów starych...“

Lud, który słuchał w wielkiem skupieniu i cichości, nagle zaszemrał:

— Co się stało?

— Skąd ukaz? Nie słyszeliście?

— Pewnie znów to samo, co dwa lata temu w Se-Czuanie... Będziemy płacić!..

— Oj, ci chrześcianie! Chwilki nie usiedzą spokojnie!

— Słyszałem, że w Kia-Czau zabrano ziemię rolnikom... Podobno nawet zburzono groby i wyrzucono kości umarłych...

Przybysz, który błyszczącemi oczami spoglądał na wzburzone tłumy, podniósł rękę, aby je uciszyć. *Wacław Sieroszewski.*

(D. n.)

3)

MULTATULI.

Studjum z literatury holenderskiej.

(Dokończenie)

„Listy miłosne“ Multatulego, „Aglavaine i Selysette“ Maeterlincka, „Epipsychidion“ Przybyszewskiego oto jest trójksiąg miłości, jaki nowy renesans literatury może stawić obok „Sonetów“ Petrarki, „Romea i Julji“ i „Fausta“ Goethego, aby się kiedyś nie zdawało, że stosunek dwojga płci w świetnej epoce kulturalnej illustrowały najlepiej pamiętniki nynfanemki pokojówki pan Prevost, pan Lonys Mantegazza i erotomani francuzcy. Ale ta Fancy nietylko wzniosła Multatulego w eteryczną atmosferę, gdzie króluje genjusz, ona nie zrobiła zeń ani niewolnika, ani pajaca, ale właśnie w tych samych „Listach miłosnych“ natchnęła go znowuż do wspaniałych X legend o pochodzeniu przemocy, w których Multatuli emancypuje się już z patronatu specyficznie jawańskim helotom, znikczemniałość polityki indyjskiej uważa tylko za jedno z nieprzeliczonych wcieleń prastarej formy nieszczęścia ludzkiego i choć jeszcze w X legendzie zatapia krogulcze szpony w przegniłem ciele społeczeństwa pro exemplo holenderskiego, ale już te szpony z krwawiącem mięsem wyciąga i przygotowuje się do szerszego lotu: „Idei“.

Kiedy „Listy miłosne“ wyszły z druku, pruderja purytańskiego społeczeństwa uczuła się obrażoną i spoliczkowaną. Jeden z listów do Fancy w rzekomej odpowiedzi na jej list, w którym Muza skarży się na obojętność Maxa i prosi aby nie był tak gorzkim, złośliwym i satyrycznym, a więcej jej miłości poświęcał, list z odpowiedzią tedy miał obrażać wprost moralność publiczną pastorów i guwernantek swym rozpustnym rozmachem, nagą, zuchwałą żądzą posiadania, pożądaniem cielesnem... ideału. Multatulego ogłoszono gorszycielem, jego żonę uważano za nieszczęśliwą ofiarę szalonego, opętanego przez złego ducha fantasty i wszystkie gromy, jakie złota mierność ma w pogotowiu posypały się na głowę zuchwałego pioniera indywidualizmu. Ani go to martwiło, ani irytowało, on publiką, tą publiką, która w płaczu matki za zmarłem dziecięciem podziwia postawę bólu i bladość twarzy, pogardzał. Gdy pisał z ogromną siłą, nie słyszał nawet jak węże syczą, psy skowyczą, wrony kraczą, hukają puszczyki. Jednak do rozpaczy doprowadzało go to, że go zaczęto uważać za literata z professji, co prawda wielkiego artystę, ale tylko artystę, podczas kiedy on porównywał się z prorokami starego testamentu, był człowiekiem inicjatywy, woli żelaznej i czynu a nie bohaterem bibuły. Multatulego do rozpaczy doprowadzało, że jego książki budzą to sensację, to sympatję, a wszędzie ogromne, niebywałe zainteresowanie, a Jawańczycy giną, jak ginęli z malarji, tyfusu głodowego, pod batami. Pisze więc sarkastycznie wiersz, co się zaczyna:

Chodźcie już, chodźcie: będzie mąż krzyżowan,
Coś przepysznego widać na Golgocie.

.....porównuje się z bohaterem ludowych baśni Chrewzem, co ścigał zbójów, ale za to został skazany na grę na lutni..... Multatuli myślał, że Max Havelaar, będzie uwerturą kampanji przeciw polityce kolonialnej, holandzkiej, tylko dyrygowaną przez niego, a że jego miejsce zajmą potem dyplomaci i ministrzy, posłowie i publicyści.

A kiedy bliżej przypatrzył się wokoło siebie tym żelaznym, ciężkim łańcuchom apatji i opportunizmu, zwisającym leniwo ku ziemi, kiedy przekonał się, że jest to walka Dawida, ale nie z jednym, a ze stu olbrzymami, kiedy zobaczył się osamotnionym, zabrał się z nakładem wielkiego krytycznego mozołu do rewizji wszystkich pojęć i zasad życiowych i postanowił z światopoglądów nowych epoki wyciągnąć najenergiczniejsze, najkonsekwentniejsze, najzrozumialsze konsekwencje. Finezja i wykwint artystycznej formy były mu najzupełniej obojętne; krasnoludkami na Parnasie zostają zwykle ci, co piękną oprawę dają fałszywym klejnotom, a w bańkach mydlanych zamykają pustkę swej myśli. Dla jego bezmiernego, dzikiego ducha ramy artystyczne dzieła byłyby łożem Prokrusta, torturami; taki duch przewodni może, jak chce, opanować wszystkie formy, ale od żadnej, choćby najkunsztowniejszej opanować się nie da. W ronda i trjolety w naszych podminowanych czasach, w których na niebie co prawda nie pokazują się ogniste miotły, ale z głębi ziemi dobywają się już coraz straszniejsze groźby, w takich czasach potężnej męzkiej myśli Tołstojów i Ruskinów, Morrisów i Egidych, a choćby Secretanów i Fogazzarrów, w ronda i trjolety bawią się paziowie o zajęczych serduszkach, koło których przejdzie duch czasu tylko z uśmieszkiem pogardliwej litości na ustach.....

Multatuli, ten kapitalny syntetyk indywidualizmu i altruizmu, królewski poeta: »Miłosnych listów“ i głęboki myśliciel: „Idei“, Pizarro w dziedzinach ducha, posyłał w świat myśli bez sznurówek, rymów i bez murzyńskiego, jak mówi Mallarmé, dzwonka rytmu. Od fetyszyzmu dla sztuki był tak daleki, jak wszystkie wielkie duchy wieku, jak: Ibsen, Stirner, Nietsche, Tołstoj, choć tego ostatniego był np. najpotężniejszym antypodą, jako wróg uczuć nazareńskich, ewangelicznych, niewolniczych, jako głosiciel tej kardynalnej maksymy maksym, że złemu nie kornie poddawać się, ale je całym rozmachem wszelkich sił życiowych i na każdym kroku zwalczać nale-

ży w jego wszystkich nikczemnych, czy śmiesznych formach. Stąd też cała jego twórczość, to bój, to kampanja, to inwektywa Boga, biblji, ewangelji, nieśmiertelności duszy, etyki ekonomji, to pojedynek z autorytetem na bitej ziemi konno i pieszo na wszystkich autorytetu placówkach. Stąd też cały jego żywot heroiczny i pełen przygód, stąd jego tułaczka po niemieckich miastach, taka, jak *pauvre Leliana*, stąd też jednak teraz, w czasach spotęgowania uczuć społecznych i nacjonalnych, po krótkiej letniej nocy dusznej oparnego symbolizmu, Multatuli zmartwychwstaje z pyłów bibliotecznych i staje w pierwszej grupie duchów przewodnich wieku XX, interpretowany i komentowany przez pierwszych pisarzy myślicieli holenderskich J. Versluysa, Vosmaera de Spie, van Vlotena i Henry de Pénea.

Po „Listach miłosnych“ rozglądano się dokoła za modelem Fancy - »Tak zawsze ordynarny mob nie uśnie, aż się przekona, że coś gdzieś jest paszkwilem, że ktoś na kimś zemścił się unieśmiertelnieniem figurki bezimiennej, że kochanka wymarzona ma ciało, włosy i paznokcie i przychodzi do autora wtedy, kiedy jego żony niema w domu. Inwektywny Multatuli błagał żony w liście, aby *„pour épater les bourgeois“* głosiła wszędzie, że taka Fancy. żyje i sam był pewnym, że Fancy to tylko.... tylko miraż. Ale holandzkie Hösicki wyszperały ku ogolnej uciesze, że coś podobnego, cudownego, wyśnionego istniało i w rzeczywistości, że tem idealnem stworzeniem boskiej fantazji była czternastoletnia siostrzeniczka skandalizującego się wuja, mała Sietske Abrahamsz. Stosunek Dekkera Multatulego do małej Siet był czysty i jasny jak rosa, ale po wyjściu: „Minnebriefen“ stary papa Abrahamsz uważał za konieczne anielski podlotek o Greuzowskiej główce i habrowych oczkach odesłać do klasztoru; w 20 lat później brat Sietski, dr. Swart Abrahamsz, wielbiciel genialnego szarlatana Lombrosa, publikował broszurę pt. „Multatuli, Historja choroby“, gdzie dokumentował i identyfikował geniusz i obłęd swego wuja. Dawniej bowiem genialni ludzie mieli koło siebie Delfiny Potockie, Zanów i Januszkiewiczów, teraz każdy ma swego Hösicka i Lesera, Multatuli nawet we własnym siostrzeńcu. Ale wielki buntownik już pióra nie rzucał; zawarłszy z dość solidnymi nakładcami dość korzystne układy, rozpoczął cyklopowe dzieło, standard-work swego życia: »Idee,« które pisał kolejno w Amsterdamie, po miastach niemieckich, włócząc się w nędzy i poniżeniu, a wreszcie kończył w Wiesbadenie. »Idee,« to jest 8 tomów, (z których dwa wyszły już w niemieckim przekładzie Spohra), paraboli, sentencji, paradoksów, sarkazmów, liryków, legend, aforyzmów, nowelli, tekstów do kazań, szkiców, opowieści z włączonym dramatem: »Szkoła książąt« i włączoną powieścią z życia dusznego dziecka, podobną cokolwiek do specjalisty dziecięcej psychologji rosyjskiego Fjedora Sołtoguba. Mottem całości było biblijne: »wyszedł siewca aby siać« i w rzeczy samej praca „Idei“ była w całem tego słowa znaczeniu ewangelją dla nowego pokolenia, dokonała tego, co np. w Niemczech zrobiło stukilkudziesięciu ludzi z całą plejadą pism, tygodników, teatrów, z indjańskim hałasem i krzykiem. Multatuli wędrował zbiedzony i obdarty, po Niemczech, przymierał z głodu, kradł chłopom z ogrodów groch i bób, spał na zydlach po gospodach, nie miał pieniędzy na naftę, na frankowanie listów, na papier dla »Idei,« a tu w ojczyźnie powstawała zwolna coraz liczniejsza eleuteria, ale ani magów, ani efebów, ani mesjanistów psychopatologicznego pomazania tylko eleuteria wolnych, niezawisłych, orlich umysłów o męzkiej silnej woli, szerokich horyzontach i wyrafinowaniu uczuć i smaku artystycznego.

Multatuli włóczył się z miasteczka do miasteczka, a na nowe zeszyty: „Idej“ gromadki wielbicieli czekały w księgarniach. Złoty deszcz wielkich płodnych myśli padał na młodzież, zrywano z tradycjami głupiemi, czy złemi bez żalu, ale z uśmiechem szczęścia, opportuniści i pozytywiści wytrzeszczali oczy na to nowe pokolenie, które gardzi maklerstwem w kawie i cykorji, nie sadzi tulipanów, nie chodzi na kazania bardzo sennych apoplektycznych pastorów, ale pracuje, — pracuje dla jutra. A w rzędzie pierwszych wielbicieli mistrza włóczęgi stanęła i jego przyszła druga żona, dziewczątko z faryzejskiej rodziny, Mimi Hamminck Schepel. Wraz nawiązała się gorąca, idealna korespondencja, a kiedy słynny autor ją poznał, stosunek cały prędko się rozstrzygnął, oboje zakochali się w sobie bez żadnych restrykcji, choć po długiej walce z głęboko wkorzenionymi tradycjami protestanckiej moralności. Rodzice Mimi wyparli się dziewczątka, które obałamucił, dodajmy tylko sentymentalnie i intellektualnie piękny genjalny awanturnik, Mimi została bez dachu i Dekkerowie ofiarowali jej ognisko własne domowe. Stosunek między obojgiem pozostał na tej idealnej wyżynie, dostępnej tylko bardzo wyjątkowym, czystym duszom, ale opinja stugębna rozpoczęła z furją tkać pajęczą sieć intryg. Po krótkiem, dziwnie harmonijnem i bardzo uduchowionem pożyciu *en trois*, pani Tine dała posłuch jadowitej ordynarności oszczerców i wyjechała z dziećmi do Włoch. Mimi poszła na guwernerkę, a smutny myśliciel, bogatszy o sto doświadczeń i sto dezilluzji, powłóczył się dalej od wsi do wsi, od miasta do miasta i nierzadko w towarzystwie łapserdaków i rzezimieszków spisywał te królewskie, pańskie pomysły, które wnet staną się własnością całego świata cywilizowanego.

Umarł we własnej willi nad Renem w r. 1887, właśnie w tym roku, w którym też zgasł umysł Nietschego, poczem spalony został w Gotha. Przedtem jeszcze, na kilka lat przed śmiercią, stał się ofiarą narodowego hołdu „huldeblyku“ od tych samych faryzeuszów, których pyszne sylwety mamy w panu Batavusie Droogstgepelu i błogosławionej pamięci Kapelmanie.

Adolf Nowaczyński.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

— A jako rad widzi te swoje dziecka! — ciągnął Iskra. — Nieporada patrzeć bez sluz, kie pocznie je tulić, głaskać, całować. Do Hanki zaś wciąż zwraca się z prośbą, aby je chowała, jako się patrzy i o śmierci ojca nie dała zabaczyć, a Pawełka nauczała, aby był prawym Chodowakiem...

Zgromadzeni Chodowie słuchali opowiadania z widocznem przejęciem; grajek też umilkł, wzruszony, lecz po chwili tak mówił dalej:

— Was wszystkich wspominał serdecznie i prosił, abyście mu wybaczyli wszelkie urazy, jakie kto ma i abyście pamiętali o starodawnych prawach chodzkich. Pytał też, czy Lomikar jest w mieście, a kie-ch rzekł, jako przyjechał wraz z nami do Pilzna, Kozina szepnął: „Chce uwidzieć, jako będę umierał... Daj-że mi Bóg telo mocy jutro, aby ów udręczyciel Chodów nie urągał ostatniej mojej godzinie"!..

Rozrzewniony grajek przypomniał sobie jeszcze, że gdy weszli do celi Jana, stary Wilk poznał go odrazu i rzucił się witać.

— Kiebyście go widzieli, jako skomlał z radości, jako lizał ręce więźnia. A kieśmy wychodzili, nie można było nijakim sposobem dowołać się wiernego psiska. Legł na podłogę i wstać nie chciał. Trza go było hań ostawić...

— Pódziesz ta jeszcze raz do więzienia? — zapytał stary Szerłowski niepewnym jakimś głosem.

A gdy Iskra skinął twierdząco, Chodowie jęli prosić na wyścigi, aby pozdrowił Jana w ich imieniu i aby mu powiedział, jak bardzo żałują, że nie będą mogli pożegnać się z nim osobiście.

* * *

Mrok listopadowego wieczora osłonił królewskie miasto Pilzno. Zimno było na świecie i wiatr huczał. Na placu pustka, wszędy cisza i ciemność. Domy, wyniosła radnica, wspaniała świątynia, stojąca pośrodku placu, — wszystko to w czarnej tonęło nocy. Przed radnicą przechadzał się żołnierz miarowym krokiem, a nieco dalej stała gromadka kobiet w brunatnych kożuchach chodzkich. Milczały, spoglądając najczęściej w kierunku kościoła, którego śmigła wieżyca biegła kędyś w niebiosa. Nagle jednak zwróciły się wszystkie, jakby na umówiony znak, w prawo, ku radnicy, której wrota skrzypnęły w ciszy nocnej. Z wrót onych wysunęły się dwie kobiety, niosąc każda uśpione dziecko w ramionach Były to Hanka i stara matka Jana. Wracały z więzienia, gdzie spędziły ostatni wieczór w towarzystwie męża i syna...

Ostatni wieczór! a potem już nigdy... Nigdy nie wrócą szczęśliwe wieczory, które spędzali u domowego ogniska, gdy Hanka nuciła nad kolebką, a Jan figlował z Pawełkiem na łóżku!..

Hanka musiała to mieć na myśli, musiała o tem sobie przypominać, bo twarz miała okropnie zmienioną i patrzyła prawie nieprzytomnie na otaczające ją góralki...

Sąsiadki, między któremi znajdowała się i Maryna Przybkówna, okazywały nieszczęśliwym kobietom żywe współczucie i chciały je odprowadzić do mieszkania, ale stara matka Koziny wyrwała się im z rąk, padła na kolana przed zamkniętemi drzwiami kościoła i poczęła modlić się z głośnym płaczem. Hanka poszła za jej przykładem, a reszta niewiast, stojąc za niemi, chwiała żałośnie głowami, prosząc Boga, aby pocieszył te biedaczki i dodał im mocy.

W celi więziennej panowała tymczasem cisza, — głękoka cisza.

Dwie gromnice płonęły przed krucyfiksem, na stoliku, okrytym serwetą, a po ścianach migał cień przechadzającego się w zamyśleniu więźnia. Kozina był blady, ale spokojny. Słyszał o przygotowaniach, słyszał o współczuciu dla siebie przybyłych Chodów i było mu lżej jakoś na sercu. Czuł, że Lamminger nie zupełnie jeszcze zwyciężył i że dzień jutrzejszy, nie będzie dniem jego tryumfu, chociaż przyniesie mu to, czego pragnął najbardziej, jego, Koziny, śmierć.

Ale co będzie dalej na ziemi chodzkiej? Co pocznie jego rodzina?

Bolesne pytania bez odpowiedzi, które gorycz napełniały mu duszę. Złożył nareszcie ręce i jął się modlić. Lecz niebawem zaczęło go ogarniać ogromne znużenie, wywołane napięciem myśli, falą wrażeń i mocnych uczuć. Położył się na łóżku i wnet usnął twardym snem. O świcie dopiero zbudził go zgrzyt klucza, obracającego się we drzwiach.

Stróż więzienny przyniósł śniadanie, lepsze, niż zazwyczaj, więzień jednak zaledwie dotknął jadła i wypił odrobinę wina.

Po śniadaniu przyszli goście: matka, żona, dzieci i Rzehurzek. Ukłóło go w samo serce, gdy zobaczył tych najdroższych. Ostatni raz! Okropne słowa! Widząc jednak blade, przerażone twarze matki i żony, opanował się natychmiast i zaczął je pocieszać.

— Bóg da, że śmierć moja nie będzie daremna, lecz owszem, wszystkim Chodom przyniesie pożytek. Lomikar wygrał przed sądem ludzkim, ale hań, przed sądem bożym, nie wygra, bo sprawa nasza była święta i ja za nią umieram niewinnie...

Na to stara matka załamała ręce.

— Tom ja temu wszystkiemu winna i Hanka ma słuszność, gdy tak powiada... Gdybym

nie była chowała onych dokumentów... O synu, daruj!.. I ty, Hanko, odpuść!..

Rozpacz tej kobiety niezłomnego ducha, jej boleść i łzy — wstrząsające robiły wrażenie. To też Jan rzucił się ku matce, jął uspakajać i pocieszać, a potem zwracając się do żony, mówił drżącym głosem:

— Jeśli tak myślisz, Hanko, to się mylisz i proszę cię, abyś nie miała nijakiego żalu do mamy. Com uczynił, tobym i bez niej był uczynił, dyć wiesz, że mi to oddawna po głowie chodziło...

Zaczem pochylił się ku dzieciom, przemawiał do nich, głaskał pieszczotliwą ręką jasne ich główki, a potem jął się żegnać z matką i żoną, prosząc, aby mu przebaczyły boleść, którą im sprawia.

— Bóg wam zapłać za wasze miłowanie... A ty, Hanko, wiem.. — mówiąc to odpiął czerwone wstęgi od ślubnego, dziś wytartego już żupana — strzegłem pilnie tej wstążki, pozierałem na nią często... Była to jedyna moja pamiątka z domu, od ciebie... Mężowie biorą to zawdy do grobu, ale ja nie mam prawa wziąść pod...

Urwał, nie dopowiedział, że nie chce wziąść pod szubienicę drogiej pamiątki, serdecznego daru narzeczonej...

Drzwi uchyliły się, wszedł strażnik, wiodąc za sobą dwóch żołnierzy, uzbrojonych od stóp do głowy. Na ich widok kobiety poczęły krzyczeć i płakać, a Hanka, blizka omdlenia, przegięła się w tył. Jan podtrzymał ją silnem ramieniem, przycisnął do piersi, potem całował ręce matki, ale z dziećmi najdłużej się żegnał. Pieścił śliczne ich twarzyczki, błogosławił sierotom drżącemi słowy, w których wypowiadała się cała jego miłość i żal cały...

Na placu tymczasem zgromadziły się niezliczone tłumy ludu. W oknach i na balkonach domów cisnęły się też głowa do głowy, nawet na dachach widać było tam i ówdzie gromadki ciekawych. Ścisk największy panował przed ratuszem, gdzie wojsko zaledwie powstrzymać mogło ludzi, tłoczących się ku bramie, którą miał wyjść skazaniec. Przed wojskiem, w pobliżu bramy, stali całą gromadą Chodowie, poważni, smutni, bez ciupag w ręku. Było ich ośmdziesięciu, młodszych i starszych, a tłum przyglądał się z żywem wzruszeniem wyniosłym postawom dorosłych, dzieciom drobnym, które trzymali na ręku, podrostkom, tulącym się do ojców i kilku żałobnie ubranym kobietom. Mówiono też o nich wszędzie, wskazywano ich sobie wzajemnie. Chodowie jednak nie patrzyli na tłum, oczy ich zwrócone były w jeden punkt: w bramę złowrogą...

Nagle dreszcz po nich przeszedł. W radnicy ozwały się kroki i lament niewieści Oto wysuwają się żołnierze, a za nimi — on! Kozina! Serce ścisnęło się im w męzkiej piersi. Więc tak wygląda ów dzielny góral, którego lica rumieniły się niegdyś, jako zorza wieczorna?... Jaki mizerny, jaki blady! — O biedny Kozina! Ale jak dumnie stąpa, jak wysoko niesie głowę! Wszystkim Chodom serca uderzyły jednem uczuciem, wszyscy podali się naprzód, aby ścisnąć skazańcowi rękę po raz ostatni. Ale wojsko ich powstrzymało, nie mogli się ani poruszyć. Widzieli jeno, że Kozina uśmiechnął się do nich z daleka. Teraz stoją przed samą radnicą. Więzień potoczył spojrzeniem po niebie, którego tak dawno nie widział. Jaśniało pogodą i szafirem. Wtem strażnik zwrócił się do jego żony i matki, prosząc, aby się uciszyły, bo mają czytać wyrok.

Wszystkie oczy skierowały się na balkon radnicy. Stało tam kilku urzędników, a jeden z nich jął czytać na głos wyrok sądu kryminalnego, aby całe zgromadzenie wiedziało, jakich zbrodni dopuścił się skazaniec.

Gdy skończył, żałobny orszak dalej się posunął. W tej chwili jednak stary Przybek zerwał z głowy kosmatą czapkę i wyciągając rękę w stronę Koziny, zawołał:

— Niech-że Bóg będzie z tobą, męczenniku nasz!

Głos Przybka ścichł w rozgwarze ogólnym, słowa jego usłyszeli tylko najbliżsi. Usłyszał je także Kozina, bo się odwrócił i skinął głową Chodom raz jeszcze, raz ostatni. Potem szedł już prosto przed siebie, mając z jednej strony kapłana, a w pobliżu matkę i żonę z dziećmi. Za temi ostatniemi postępował Rzehurzek i cały zastęp Chodów. Na lewo i na prawo kroczyło wojsko, aby lud trzymać na odległości. Ci jednak z pośród tłumu, którzy mogli dojrzeć skazańca, niewinne jego dziatki, skamieniałą z bolu żonę i matkę, — ci nie mieli poprostu sił zapanować nad łzami.

(C. d. n.).

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Drugi znowu wizjoner, Kazimierz Wyszyński utrzymywał, że gdy się szczerze pomodlił, w czasie swej ucieczki z więzienia, do Najświętszej Panny Latyczewskiej, to ta w nagrodę zesłała ślepotę na straż więzienną, a jemu samemu udzieliła takiej sprężystości w nogach, że pędząc po polach, miał takie wrażenie jakby niesiony był przez wiatry.

Słuchając opowiadania szczerze wierzących w zjawiska nadprzyrodzone, zdawało się nam, że jesteśmy naraz przeniesieni w epokę homerowych legend, i widzimy, jak Bogowie zstępują z Niebios na ziemię, niosąc pomoc swym ukochanym czcicielom.

Myśl wierzących była ciągle zaprzątnięta odmawianiem pacierzy. W modlitwie skupiało się ich życie całe. Przebłagać gniewne niebiosa, odbudować ojczyznę, zwalczyć nieprzyjaciół wszelakich, postanowili oni pacierzem. Część ich przytem chorowała na manję wielkości, tym się zdawało, że Bóg ich obrał za narzędzie, przeznaczone do szerzenia prawd im objawionych, że ich ukochał przed wszystkimi innymi na świecie.

Wielu z dotkniętych obłędem religijnym wyleczyło się w późniejszym czasie, ale pewna ich ilość pozostała do końca życia niewyleczona, ci sądzili, że dosięgli szczytu doskonałości, na jaką się tylko zdobyć może duch ludzki.

Despotyzm rządów, przygniatający umysły, nieszczęścia społeczne, więzienia długie i ciężkie, są to rozsadniki, w których się lęgną i rozwijają rozmaite rodzaje obłędów. Ogólnie biorąc, każdy człowiek więziony przez czas dłuższy, staje się chorym na umyśle. To też przypatrując się czynnościom więźniów, słuchając ich zwierzeń, sądzić ich nie można miarą logiki zwykłej, normalnej. Trzeba być w nich, a nie tylko z nimi, trzeba przeżyć samemu te chwile rozpaczy, zwątpienia, boleści, które oni przeżyli, trzeba okiem i sercem ciepłego współczucia ogarnąć całą ich istotę, ażeby potrafić ocenić i zrozumieć poglądy, projekty i marzenia więźniów. Tych kilka słów wstępnych uważałem za konieczne podać w tem miejscu, one pozwolą nam zająć należne stanowisko wobec trzeciego typu obłędu, o którym ma być mowa poniżej.

Wszyscy niemal więzieni i zesłani przebyć musieli gorączkę ucieczki. Myśl o niej jest tak naturalną, instynktowną, prawie odruchową czynnością umysłu więźnia, że można śmiało powiedzieć, iż każdy z nich musi myśleć o ucieczce. Nie tylko człowiek, lecz każde zwierze, poczynając od drobnych owadów, złowione i więzione ma na myśli ciągle swobodę, cóż więc dziwnego, że nasi więźniowie marzeniami o niej byli stale zaprzątnięci?

„Jak daleko do Krakowa“ — dopytywał jeden z manjaków ucieczki, niejaki Stępkowski, u każdego napotkanego „moskala“, bo marzył o jakiejś „elipsie“, którą „stanowić ma droga przez Syberję“, otóż chciał się dowiedzieć, w jakiem miejscu następuje „zwrót elipsy na zachód“, z tego też punktu dopiero miał rozpocząć ucieczkę.

Inni znowu badali na każdej stacji, „czy Kirgizi są w pobliżu“; wędrując następnie przez kraj „Karagazów“ i sądząc, że Karagazi są to właściwie owi wymarzeni Kirgizi, „nieprzejednani wrogowie Rosji“, jak ich sobie przedstawiali wygnańcy, postanowili wyruszyć do nich. Zimą wśród mrozów silnych puścili się do „tajgi“ w celu odszukania Kirgizów, lecz po kilku dniach błąkania się po lesie, wrócili do więzienia. Szczęściem dla nich, że się to stało w czasie, gdy partje były wstrzymane w pochodzie, więc kontrola była słabsza, a z tego powodu nieobecność ich kilkudniowa nie została nawet wykryta.

(C. d. n.)

Z pism i książek.

Dr. Tadeusz Grabowski: „Ludwik Osiński i ówczesna krytyka literacka“. Kraków 1901.

Książka ta, a raczej broszura o blisko stu stronicach, ważną i zajmującą jest nie dlatego, że zawiera charakterystykę Osińskiego, który prócz tego, że w swoim czasie zachowywał się dość hałaśliwie, nie wywarł żadnego donioślejszego wpływu, — lecz dlatego, że obejmuje do pewnego stopnia mało uprawianą u nas gałąź historji krytyki literackiej. Temu też przedmiotowi poświęconą jest głównie praca p. Grabowskiego i dopiero na tem tle występuje sam Osiński, od którego nazwiska rozprawa otrzymała swój tytuł.

Rozpoczynając pracę swą od scharakteryzowania stanu krytyki literackiej przed Osińskim, oparł autor swój opis na skreśleniu wpływów obcych, czyli francuskich i niemieckich, gdzie krytyka literacka kwitnęła w najlepsze, kiedy u nas odzywały się zaledwie tu i ówdzie odosobnione protesty przeciwko zepsutemu smakowi. Potem charakteryzuje autor czasy, kiedy to już i u nas tacy, jak: Konarski, Krasicki, Niemcewicz, Dmochowski i inni, oparci już na wzorach zagranicznej filozofji i estetyki, brali się do poprawy wyobrażeń o poezji i jej poszczególnych rodzajów. Oddając pod względem wartości hołd „Wymowie i poezji“ Piramowicza, przedstawia autor dogmatyczność, naśladowniczą formalistykę i chłodną rozumowość aspiracyj ówczesnych krytyków literackich, oraz daje przegląd pism perjodycznych, które uprawiały krytykę dawnych i współczesnych utworów literackich. Potem przechodzi do stanu krytyki literackiej za czasów Księstwa Warszawskiego, kiedy to już wywarli u nas swój wpływ Lessing, Herder, Schiller i inni, pogrzebawszy dawnych Boileau'ow, Gotschedów i innych twórców urzędowej naśladowczej poetyki, a utwory takich Woltairów, Korneillów, Gessnerów i t. p. przestały być najwyższymi wyrazami poezji, a obok rozumu zapanowało szczere uczucie.

Samemu Osińskiemu poświęca dr. Grabowski o tyle miejsca, o ile on jest wyrazem lub przeciwieństwem panujących współcześnie prądów. Określiwszy go jako poetę zupełnie miernego, przedstawia go autor w chwilach, kiedy to dzięki błyskotliwości i złośliwej kategoryczności sądów, święci tryumfy w salonach warszawskich i kiedy później, jako wyraz tzw, „klasycznego smaku“, walczył zapamiętale z romantyczną nawałą. Rozbiorem pism Osińskiego z tego okresu, kończy dr. Grabowski swoją pracę, opartą na sumiennych studjach i zajmującą dzięki głębokiemu i wszechstronnemu wniknięciu w ducha ówczesnej umysłowości.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.